Godło "Łoś"

Miłość odnaleziona pod mostem

Spływy pływadeł - barwne, hałaśliwe, parę godzin zamieszania w piątkowy wieczór i sobotnie przedpołudnie w czerwcu. Ich uczestnicy dwa dni płyną z Raciborza do Kędzierzyna-Koźla. Dekadę temu spływy wyglądały jednak inaczej - trwały trzy dni, od piątku do niedzieli, a ich uczestnicy płynęli dodatkowo Odrą aż z Ostrawy do Raciborza. I o dwojgu uczestników takiego trzydniowego spływu opowiemy w tej historii.

Krzysiek z Ewą znali się od dziecka. Wychowali się w jednej wiosce, mieszkali o parę domów od siebie. Niedaleko było boisko, na którym spotykali się z innymi rówieśnikami, grali w siatkówkę, piłkę nożną czy w kwadranta. Choć praktycznie sąsiedzi, to największa plotkara we wsi powiedziałaby z pewnością w głosie, że to tylko kolega i koleżanka.

I tak też faktycznie było. Czasem razem wrócili ze szkolnego autobusu, pogadali po drodze do kościoła, Ewa poratowała Krzyśka, jak nie miał partnerki na wesele, ten ją gdzieś podwiózł i tyle. Potem każde szło w swoją stronę, a ciekawskie sąsiadki nauczyły się szybko, że o nich klachać nie warto, bo z tej mąki "na zicher" chleba nie będzie. Upewniła ich w tym na sto procent scysja, do jakiej doszło w barze naprzeciwko domu Krzyśka.

Dziewczyny, w tym Ewa, szykowały się do wyjazdu na dyskotekę, Krzysiek wpadł na piwo. Kto bardziej tego dnia wstał lewą nogą, nie wiadomo. Dość powiedzieć, że od słowa do słowa doszło między nimi do potężnej kłótni i wymiany złośliwości. Ewie zdawało się, że została przy ostatnim słowie, bo Krzysiek wypadł z baru jak oparzony. Po chwili jednak wrócił i już w drzwiach usłyszał drwiące: - Zapomniałeś czegoś? To przesądziło. Krzysiek podszedł do Ewy, po czym szybkim ruchem rozbił jej na głowie trzymane w ręce jajko. - Ochłoń - wycedził z satysfakcją. Efekt oczywiście osiągnął odwrotny, bo w barze rozpętało się pandemonium. Po "szamponie jajecznym" Ewa po prostu dostała szału. Długo trwało, nim znajomi obojga zacietrzewionych młodych pogodzili skłóconą parę...

Oboje poszli na studia, rozjechali się w dwie różne strony, do rodzinnych domów zjeżdżali z rzadka. Potem jednak wrócili, w przeciwieństwie do wielu rówieśników, którzy wybrali życie za granicą lub w dużym mieście. Znaleźli pracę, znów mieszkali o parę domów od siebie, ale żadne zapowiedzi nie spadały w kościele, ani Ewy, ani Krzyśka. Na rodzinnych weselach stare ciotki już im bez ogródek dogadywały, że już najwyższy czas się chajtnąć, ale oboje pozostawali głusi na takie zaczepki. On się czasem umówił, ona z jakimś chłopakiem na kawę pojechała, ale nic dłużej nie iskrzyło.

Krzysiek miał dwie ogromne pasje - piłkę nożną i wodę. Za "fussbalem" przepadał od dziecka, druga namiętność przyszła w 2000 roku. Choć na pierwszy spływ pływadeł z Raciborza trafił przez przypadek, to wsiąkł w rzeczne klimaty na amen. Nie cierpiał silników, uwielbiał padlować, jego pływadła były wyłącznie napędzane wiosłami. Śpiew ptaków, kolorowe ważki siadające na wiosłach, zielono na brzegach - to było coś, na co zawsze miał czas. Weekend w maju lub w czerwcu, gdy organizowano pływadła, był z definicji zajęty. Nawet jeśli w końcu jechał na mecz swojej drużyny, to prosto z Odry.

Dwa dni pływania na rok to trochę mało. Na dodatek impreza zaczęła być trzydniowa. Krzyśka coraz bardziej kusiło, żeby spróbować sił od Ostrawy. Tyle tylko, że zapory na granicy polsko-czeskiej, płycizn na granicznych meandrach i śluzy "Rafako" już w Raciborzu nie było szans sforsować pływadłem. Krzysiek musiał wymyślić inny środek transportu. Kajaki wydawały mu się niestabilne i nie miał do nich zaufania. Kolega zabrał go na krótki spływ po mniejszej rzeczce pontonem i Krzyśka olśniło: to jest to!

W Realu kupił ponton z dwoma wiosłami. Dulki były wprawdzie cztery, ale nie zwrócił na to uwagi. Wypróbowali ponton z kolegą na pobliskim jeziorku - nie przeciekał. Na tym testy sprzętu się skończyły, więc nic nie zaalarmowało Krzyśka. Nie zwrócił uwagi, że na pływadłach wiosłował jednym dużym wiosłem. W rytmicznym padlowaniu dwoma i pływaniu pontonem nie miał doświadczenia. Jedno rekreacyjne pływanie po Solinie, gdzie jako nastolatek kręcił się pontonem w kółko, wspominał ze śmiechem. Po przepłynięciu kilku spływów pływadeł czuł się już doświadczonym wilkiem śródlądowym, choć pływał tylko na dość szerokiej na tym odcinku Odrze...

Pozostawał problem znalezienia załogi. Jak to zwykle przy spływach bywało, im bliżej było do imprezy, tym szybciej kolejni chętni się wykruszali. Krzysiek zachowywał spokój, ale w przeddzień wyprawy wszystko wskazywało na to, że będzie musiał płynąć sam, co mu się wcale nie uśmiechało. Na wodzie lubił towarzystwo, w ogóle nie był samotnikiem, więc miał spory zgryz.

Zrezygnowany i zły przypadkiem natknął się na ulicy na równie podminowaną Ewę.

- Co cię gryzie? - spytał bez ogródek.

- A, problemy w pracy, facet mnie wystawił, najchętniej bym pieprznęła wszystko i wyjechała! - nie siliła się na owijanie w bawełnę sąsiadka.

- No to niefajnie... - zmartwił się, po czym w głowie błysnęła mu desperacka myśl. - Słuchaj, wywieźć Cię daleko nie wywiozę, ale jadę na spływ pływadeł, dzień pontonem, dwa dni pływadłem na Odrze, pozytywni ludzie, dobre klimaty, oderwiesz się na chwilę, oczyścisz głowę. Co ty na to?

- No nie wiem... wiesz, że ja z wodą to nie bardzo. Nie boję się, ale co ja będę robić na tym pontonie? Nigdy nie pływałam po rzece, chyba że kajakiem po jeziorze, ale blisko brzegu - powątpiewała Ewa.
- Będziesz podziwiać przyrodę, leżeć i ładnie pachnieć. - nabrał weny i powietrza w płuca Krzysiek, szelmowsko mrugając. - Ja o wszystko zadbam.
- A co się będę kisiła w domu... Ale nie utopisz mnie?
- Słowo harcerza.
- Ty, ale ty chyba krótko byłeś harcerzem?
- No jakieś cztery tygodnie... - po jego słowach zaśmiali się oboje.
- Weź strój kąpielowy pod spód, ciuchy takie, żeby Ci nie było żal zmoczyć i jakieś stare buty, żebyś mogła wyleźć do wody, gdyby było trzeba - poradził Krzysiek. - Coś do jedzenia, coś do picia, co tam chcesz. Ciuchy na zmianę dasz mojemu ojcu do auta, on nas zawiezie do Ostrawy, a potem będzie odbierał z Raciborza i na drugi dzień nas tam odwiezie z pływadłem.
Zdecydowana już na eskapadę Ewa poszła się przyszykować do domu.
Następnego dnia rano ojciec Krzyśka zawiózł ich na dworzec autobusowy w Chałupkach, skąd jechała do Ostrawy ekipa polskich kajakarzy. Po drodze Ewa przeszła krótkie przeszkolenie co do wiosłowania. - Jeśli wiosłujesz z lewej, to płyniesz w prawo i odwrotnie. Jeśli hamujesz wiosłem z prawej, to ponton pójdzie w prawo, jak hamujesz z lewej, to w lewo. Ja będę sterował, więc słuchaj tego, co będę mówił i wiosłuj z tej strony, o której powiem - tłumaczył Krzysiek.
Wodowanie w Ostrawie Koblov przebiegło bez problemu. Gromada polskich i czeskich kajakarzy oraz dwa pontony przy wesołych pokrzykiwaniach ruszyły w dół Odry. Rzeka była płytka, ponton Krzyśka i Ewy co chwilę tarł o kamienie w nurcie. Oboje sporadycznie wiosłowali, on z tyłu, ona z przodu. Kajakarze byli przed nimi i za nimi. Nagle na oczach Krzyśka i Ewy dwie starsze panie zrobiły zbyt gwałtowny manewr w lewo, przechyliły kajak, który momentalnie nabrał wody i znalazły się w nurcie. Wody na szczęście było po kolana, ale szybkość zalania kajaka zadziwiała. - I dlatego nie chciałem kajaka - mruknął Krzysiek.
Granicę polsko-czeską na Odrze wyznaczała zapora z siatki, zbierająca już tylko śmieci. Kiedyś szczelna, teraz pośrodku miała sporą dziurę, przez którą przeciskali się kajakarze. Jeszcze ostrożniej, żeby nie przebić pontonu na wystających drutach, przeciągnęli swój ponton Ewa z Krzyśkiem. - No, chrzest masz już za sobą - zażartował Krzysiek. W złą godzinę to powiedział...
Forsowanie granicznej zapory zajęło im sporo czasu i kajakarze uciekli do przodu. Krzysiek z Ewą płynęli już tylko w towarzystwie drugiego pontonu. Znajomy most między Chałupkami a

Bohuminem minęli bez przeszkód. Po kilkuset metrach zaczęły się meandry Odry. Rzeka była dość płytka, woda wartka. Naraz ich ponton z dużą prędkością zaczął sunąć na leżący w nurcie pod skarpą przy prawym brzegu pień drzewa. - Z prawej wiosłuj, z prawej! - krzyczał rozpaczliwie Krzysiek. Zanim siedząca tyłem do rzeki zdenerwowana Ewa to sobie przełożyła, gdzie jest prawa, to już było "po ptokach". Ponton zawisł w poprzek na pniu, Ewa wisiała po jednej stronie, Krzysiek po drugiej. - Przejdź do mnie po pniu, zsuniemy ponton na jedną stronę, odpoczniemy, a potem wypłyniemy na nurt - poprosił Krzysiek. I to był kolejny błąd...

Kiedy już Ewa przeszła na jego stronę i ponton udało się zsunąć z pnia, nurt błyskawicznie docisnął go między pień a gałąź i do środka zaczęła się wlewać woda. - Uciekaj na pień! - krzyknął Krzysiek. Sam wziął wdech i wyskoczył do wody, żeby odciążyć ponton. Nie zanurzył się w niej całkiem, tak jak się spodziewał. Woda sięgała mu ledwie do pasa, ale nurt rwał tak, że Krzysiek nie potrafił obejść pnia i wyciągnąć pontonu z uwięzi, tak jak planował. Po kilku próbach musiał się poddać, rzeka była silniejsza.

Przyjaciół poznajesz w biedzie. Płynący drugim pontonem Ulka z Olkiem, znajomi Krzyśka, widzieli, co się dzieje i wylądowali kawałek dalej na lewym brzegu. Podeszli do nich brzegiem z liną. - Przerzucimy linę, najpierw ściągniemy Ewkę z pontonem, a potem ciebie - zadyrygowała Ulka. Stojący w wodzie Krzysiek podszedł do pontonu, przywiązał go rzuconą liną i ostrożnie, żeby nie zepchnąć kurczowo trzymającej się pnia Ewy w nurt, przetaszczył go przez drzewo. Ulka z Olkiem zaparli się na brzegu, trzymając linę. - Trzy, cztery... - i ponton poszedł na nurt, ale ratownicy sprawnie ściągnęli go z Ewą na swój brzeg. Po chwili znów przerzucili linę i zaparli się w trójkę na drugim brzegu. Krzysiek wziął wdech, zsunął się z drzewa w nurt, który błyskawicznie poniósł go w dół, w ogóle nie przejmując się tym, że ma do czynienia z kawałem chłopa. Lina rozciągnęła się na całą długość, ale ściągany przez całą trójkę wylądował bezpiecznie na końcu łachy. - Bardzo, bardzo dziękujemy - wysapał do wybawicieli, kiedy już się podniósł z kolan.

Ulka z Olkiem upewnili się, że przypadkowym "dendrologom" nic nie jest i płynęli dalej. Krzysiek z Ewą odetchnęli, trochę obeschli i zjedli po kanapce, kiedy już żołądki im trochę popuściły. A potem popłynęli dalej. Byli zdani już tylko na siebie, cały spływ był już daleko z przodu.

Ewa sama zdecydowała. - Przewieszę się przez dziób, bo inaczej nie dam rady szybko zmieniać stron. Ręcznik pod kolana i już. Tylko nie gap mi się na mój boski tyłek! - zażartowała.

- Piękne kształty, kobiece kształty... - mruknął Krzysiek pod nosem.

- Że niby jestem za gruba?
- Maniek z "Epoki lodowcowej" mówił, że jest puszysty... - brnął głębiej w pole minowe Krzysiek.
- Ty chyba mylisz odwagę z desperacją...
Gadką szmatką zagadywali swój strach. Nie ma co ukrywać, po przygodzie na drzewie ich chęć do podejmowania ryzyka zmalała prawie do zera. Kiedy tylko na wodzie pojawiała się jakaś piana, zmarszczka, od razu płynęli do brzegu i obchodzili podejrzane miejsce brzegiem. Prawie nie zauważyli, w jak zaczarowanym ogrodzie się znaleźli. Na meandrach, wśród brzegów o różnych odcieniach zieleni spędzili bite sześć godzin. To jest odcinek, który początkujący kajakarze pokonują w półtorej godziny...
Wreszcie rzeka przestała zakręcać, a chwilę później po prawej stronie pojawiło się ujście mniejszej rzeczki. - To Olza. Teraz mamy przed sobą taką długą prostą - przypomniał sobie z mapy Krzysiek. - Daj mi swoje wiosło, pociągnę na dwa, prąd tu marny
Mijali kolejne mosty, które nic im nie mówiły o odległości, którą już pokonali. Tylko spostrzegawczości Ewy zawdzięczali fakt, że nie przedziurawili pontonu na drucie, który wydobywający piasek na brzegu robotnicy przeciągnęli przez rzekę. Ewa spostrzegła zagrożenie na czas i Krzysiek zdążył zareagować. Drut na szczęście nie był bardzo naciągnięty i w jednym miejscu nikł w wodzie przy samym brzegu. Z duszą na ramieniu Krzysiek skierował tam ponton. Po chwili oboje odetchnęli z ulgą. Jak się potem dowiedzieli, piaskarze wiedzieli o spływie i drut opuścili do rzeki, ale po przepłynięciu całej gromady podciągnęli go z powrotem. O tej godzinie nie spodziewali się już nikogo na wodzie...
Krzysiek wciąż usiłował skoordynować pracę obu rąk, żeby ponton płynął w miarę prosto do przodu. Średnio mu to wychodziło. Pomogły mu... burzowe chmury, które pojawiły się za nimi, od czeskiej granicy. Z takim dopingiem z tyłu w końcu nabrał wprawy i zaczął raźno uciekać burzy. - Tylko deszczu nam jeszcze brakuje... - zamruczał.
Wyścig z burzą trwał jakiś czas. Kiedy Krzysiek wiosłował, chmury zostawały z tyłu. Kiedy słabł, bardzo szybko ich nadciąganie motywowało go do kolejnego zrywu. W tym czasie Ewa, nie mając nic do roboty, najpierw leżała na dziobie, a potem wyciągnęła się w pontonie, podłożyła sobie pod głowę plecak i patrzyła w niebo. Ni stąd, ni zowąd głowa jej opadła i zaczęła lekko posapywać przez nos. Leżała tak praktycznie u stóp Krzyśka, któremu dziwnie ciepło zrobiło się na żołądku. Jakoś tak odruchowo wyciągnął rękę i pogładził ją po głowie, po tych długich, ciemnych włosach, które z nią kojarzył od dziecka. Kiedy się poruszyła, cofnął rękę jak oparzony.

Spóźnił się. Ewie świadomość wróciła chwilę szybciej niż by chciał i zdążyła zauważyć, że głaskał ją po włosach. - Co on.... - pomyślała, ale poczuła się w sumie... przyjemnie. Udała, że dopiero się budzi, przeciągnęła się i powoli usiadła. Krzysiek milczał jak zaklęty.
- Gdzie jesteśmy? - zapytała. - Nie wiem.
Mijały godziny, zaczęło się robić późne popołudnie. Proste koryto rzeki, wyglądające jak kanał, było puściuteńkie. Zupełnie jakby na Odrze byli tylko we dwoje. Kiedy rodzice Krzyśka zadzwonili do niego na komórkę i zapytali, gdzie są, ten tylko odparł bezradnie. - Nie wiem. Minęliśmy teraz jakiś most drogowy. Jak potem sprawdził na mapie, byli wtedy na wysokości Krzyżanowic. To jeszcze nie były czasy, kiedy Google Maps były dostępne na każdym smartfonie. Poczciwa Nokia 3310 miała wyświetlacz niewiele większy od znaczka pocztowego...
Pierwszy wędkarz, którego zobaczyli na brzegu, wywołał w nich dosłownie euforię. - Dzień dobry, jaka to wioska? - spytał Krzysiek. - Ligota Tworkowska - odpowiedział mężczyzna. Piąty kolejny wędkarz, który podał tę samą nazwę wsi, wpędził ich dla odmiany w czarną rozpacz. Kiedy wreszcie się skończy ta cholerna Ligota Tworkowska?? Szóstego wędkarza pytali już, czy to dalej jest Ligota... - Nie, to już Nieboczowy - odparł moczykij i ucieszył ich niepomiernie.
Kolejny raz zadzwonił telefon, tym razem to była Ulka. Dotarła już na metę w Raciborzu i pytała, co z nimi. Krzysiek dokładnie jej się wypytał, co ich jeszcze czeka. - Najpierw będziecie mieli rozwidlenie, w prawo odchodzi Kanał Ulgi, a wy musicie popłynąć lewą odnogą. Kawałek dalej będzie śluza "Rafako", myśmy złożyli wiosła, położyliśmy się na dnie w pontonie i przepłynęliśmy. Musicie tylko uważać, bo jest tam ciasno, żeby nie walnąć w ścianę i nie rozedrzeć pontonu - ostrzegła.
Pozostała droga do śluzy "Rafako" minęła bez przygód. Powoli zbliżał się wieczór, choć było wciąż bardzo jasno. Dochodzący z dala huk zwiastował kłopoty. - Przy przeprawie mieli tam pomagać strażacy ze Studziennej, ale o tej porze pewnie już tam nikogo nie będzie... - mruknął Krzysiek. I faktycznie, przy śluzie nie było już żywego ducha. Gdyby Krzysiek miał doświadczenie... wiedziałby, że ten zdeptany pas roślinności na prawym brzegu, to ślad po przeprawie wcześniejszych załóg. Niestety, pływał tylko między Raciborzem a Koźlem, a tam takich przepraw nie było. Kiedy dostrzegł trylinkę na lewym brzegu, zdecydował się tam lądować.
Był tylko jeden szkopuł. Trylinka była bardzo blisko śluzy, a prześwit w niej był wielkości trochę szerszych i większych drzwi. Spiętrzona w ten sposób woda z hukiem i pianą spadała przez ten otwór na drugą stronę. Krzysiek i Ewa zrozumieli się bez słów - po ich dzisiejszych

przejściach nie było szans, żeby tak jak Ulka i Olek przepłynęli śluzę na dnie pontonu. Pozostawało zatem wyjście na brzeg przed śluzą i przed trylinką, żeby nie ściągnął ich prąd. Krzysiek dobił do skarpy, Ewa wyskoczyła z liną... i praktycznie od razu zaczęła grzęznąć w mule, zostawiając w nim buty. - A może spróbujesz się wdrapać na skarpę, liny starczy? - zasugerował Krzysiek. Ewa bezradnie spojrzała na stromą skarpę, na której rosły dwumetrowe pokrzywy... - Ok, inaczej. Zaprzyj się dobrze i puść mnie z pontonem na wodę. Prąd zgarnął ponton, kawałek dalej Krzysiek złapał się jednego z kamieni umacniających brzeg. - Teraz przejdź z liną do przodu, ja się trzymam. Ewa powoli, grzęznąc w błocie, wyprzedziła ponton, po czym znów się zaparła i popuściła linę. Ponton poszedł na wodę, Krzysiek złapał się kamienia. I tak na raty, asekurując się nawzajem, dobrnęli w końcu do trylinki. Ciężko dysząc, wyciągnęli ponton na brzeg.

- Zadzwonię do ojca, niech nas stąd zabierze. Za chwilę zrobi się ciemno - oznajmił Krzysiek. Wdrapał się na koronę śluzy i zwątpił. Z jednej strony polna droga, z drugiej strony polna droga... Żadnego znaku szczególnego. Gdzie w ogóle są? Posępny jak chmura gradowa wrócił do Ewy. - Lipa. Nie wiem, gdzie jesteśmy, nie wiem jak ojcu objaśnić, gdzie ma nas szukać. Tu po nocy się nie znajdziemy, rodzice nie mają komórki, mogę im tylko na stacjonarny zadzwonić, żeby nas zabrali. Trzeba płynąć dalej - stwierdził zirytowany. Ewa tylko bezradnie wzruszyła ramionami. - Trudno, spróbujemy.

Kiedy przeciągnęli i przenieśli ponton przez śluzę, już powoli szarzało. Zwodowali się i ruszyli z prądem. Była godzina 21.30...

Na początku nie wyglądało to tragicznie. Kiedy płynęli wzdłuż Rafako, światła zakładu oświetliły im rzekę na tyle, że płynęli w miarę na pewniaka. Potem zabudowania zakładu się skończyły, zapadła noc i zrobiło się ciemno choć oko wykol. Krzysiek trzymał się środka nurtu i wolał nie myśleć, co się stanie, kiedy nadzieją się na jakieś drzewo czy coś innego tkwiącego w korycie. Na dodatek najzwyczajniej zaczynało mu już brakować sił po całodziennym wiosłowaniu.

Ewa bała się nie mniej od niego. Zacięta mina Krzyśka mówiła wszystko. Milczała, obserwując, jak słabnie. W końcu zaproponowała: - Może ja powiosłuję? - Dzięki... mam kryzys, jak ty na tej prostej - zupełnie nietypowo jak na faceta uczciwie przyznał się Krzysiek. - Tylko wiosłuj na spokojnie, aż ci się ręce zsynchronizują.

Ku jego zdziwieniu, Ewa złapała rytm szybciej od niego i powoli zaczęli płynąć do przodu, dosłownie się "skradając". Szczęście im sprzyjało, kolejne minuty i metry tej ciuciubabki upłynęły bez zderzenia z czymkolwiek.

W końcu coś zamajaczyło nad ciemną rzeką. - To most! Most drogowy na Płonię! - ucieszył się niepomiernie Krzysiek. Po chwili jednak zaklął. Miał kiedyś dziewczynę z Raciborza, bywał u jej rodziny na Płoni, poznał miejsce. - Kurrr... to jest tylko kładka dla pieszych. Do mostu jeszcze daleko.
Po kolejnych minutach wiosłowania w końcu przed nimi pojawił się most drogowy na Płonię. Kiedy się do niego zbliżali, naraz spod przyczółka na prawym brzegu błysnął strumień światła i oświetlił ponton. To był wędkarz.
- Którędy płynąć pod mostem? - bez ceregieli spytał Krzysiek. - Środkiem, środkiem - podpowiedział wędkarz.
Oświetlony latarniami most kolejowy zobaczyli z daleka. Co gorsza, usłyszeli też huk spadającej wody spod mostu, jak na śluzie "Rafako". Tam przynajmniej widzieli, co ich czeka.... - Środkiem na pewno nie pójdziemy, bo tam siklawa. Z lewej też nie, bo trzcinami zarośnięte... Spróbujmy z prawej strony, tam jakiś prześwit jest - zdecydował Krzysiek.
Prześwit może i był, ale były też kamienie tuż pod lustrem wody, na których ponton zaraz utknął. Nie było rady. Oboje ostrożnie wyleźli z pontonu i potykając się na kamieniach, zaczęli brnąć w wodzie pod prawym przęsłem, ciągnąc swojego "gumiaka". Obok huczała spadająca z progu pod mostem woda, której siłę dosłownie podskórnie czuli.
Powoli, bo powoli... ale kamienista droga przez mękę się wreszcie skończyła. Za mostem szybko zaczęła jednak rosnąć głębokość wody. Pozostawało wypłynąć na nurt, który dosłownie się pienił obok od spadającej wody. Ewa przytrzymała się trzcin i Krzysiek wlazł do pontonu. Potem to on się trzymał, kiedy ona się wdrapywała. - Każde bierze wiosło. Oboje wiosłujemy z prawej strony, żebyśmy szli prosto. Nie możemy się dać obrócić, bo jeszcze nas wywali na samym końcu. Nic cię nie obchodzi, wiosłuj z prawej, cokolwiek by się nie działo - zapowiedział Krzysiek.
Wzięli głęboki wdech, puścili się trzcin i poszli! Nurt zaraz ich złapał, próbując obrócić, ale Krzysiek wiosłował jak szalony, zachęcając równie mocno wiosłującą Ewę do wysiłku. - Dawaj, dawaj!
I udało się! Całkiem prosto nie poszli, trochę ochlapała ich woda, ale ponton z nimi zwycięsko wyszedł z tego starcia. Kilkanaście metrów dalej prąd osłabł i nie stwarzał już żadnego zagrożenia.
Po pomyślnie zakończonej batalii pod mostem kolejowym w kierunku ostatniego mostu na Ostróg znów wiosłował Krzysiek. Jego myśli były dalej czarne, bo z wcześniejszych spływów pamiętał, że pod mostem jest kamienna grzęda, która może rozharatać ponton na samej mecie, a nurt tu całkiem nieźle przyspiesza. Cały czas się milcząco zastanawiał, czy przed nimi jest

kolejna siklawa, ale uparł się, że wbrew wszystkiemu dopłynie do miejsca startu sobotniego spływu. - Genów po rodzicach się nie oszuka... - mówił sobie w duchu z wisielczym humorem. Zdawał sobie jednak sprawę, że forsowanie mostu kolejowego kosztowało ich sporo sił, więc nic nie mówił - nie chciał dołować już bardzo zmęczonej Ewy. - Była dziś bardzo dzielna - pomyślał o niej ciepło.

W oddali zamajaczył się most Zamkowy. Krzysiek zagryzł wargi, czekała ich ostatnia próba tego dnia. - Powoli dopłyniemy i zobaczymy, jak tam wygląda, najwyżej dobijemy wcześniej do brzegu i będziemy kombinować - uprzedził. - Spoko - usłyszał lakonicznie w odpowiedzi.

Zaraz, zaraz, co to za podłużne kształty przy lewym brzegu? I nagle kamień z serca Krzyśka z głośnym pluskiem wpadł do Odry. - Hurra! To są platformy pod pływadła, cumują przy brzegu, jeszcze przed progiem! Wyjdziesz na nie i przeciągniesz ponton na linie, jak na śluzie Rafako! Nie musimy ryzykować na progu! - rozkrzyczał się, cały szczęśliwy. Ewa też odetchnęła z ulgą.

Potem już poszło szybko. Krzysiek dobił do pierwszej platformy, Ewa z liną w rękach zgrabnie na nią wyszła i zręcznie przechodziła z jednej platformy na drugą, bezpiecznie holując Krzyśka w pontonie przez próg pod mostem. Po chwili byli już po drugiej stronie, Ewa ściągnęła ponton do slipu i w końcu Krzysiek też stanął na stałym lądzie.

- Hurra! Udało się! - wyrwało im się jednocześnie. Dochodziła dwudziesta trzecia, płynęli Odrą z Ostrawy czternaście godzin...

Krzyki nad rzeką zwabiły dwóch uczestników nadodrzańskiej biesiady. Jednym z nich był Paweł, szef kajakowej obstawy spływu, drugim jeden z jego pomocników, doświadczonych kajakarzy. Ostatni raz Krzysiek z Ewą widzieli ich na polsko-czeskiej granicy.

- Co wy tu robicie? - zdziwił się Paweł.

- No właśnie dopłynęliśmy - wyjaśnił Krzysiek.

- Jak to dopłynęliście? Skąd?

- No z Ostrawy, płynęliśmy cały dzień.

- Jak to cały dzień? Przecież mi zgłosili, że wysiedliście przy moście w Chałupkach?

- Aaaa, teraz wszystko jasne, czemu zostaliśmy sami. Nie, mieliśmy problemy na meandrach, ich pokonanie zajęło nam sześć godzin, ale potem płynęliśmy sami dalej. Przeszliśmy śluzę "Rafako" i ostatnie półtorej godziny płynęliśmy po Raciborzu.

- Po Raciborzu nocą? - kajakarze popatrzyli po sobie z niedowierzaniem.

- No tak. Udało nam się na nic nie nadziać, pod mostem kolejowym przeszliśmy pod prawym przęsłem, bo środkiem się baliśmy, tu wyszliśmy na brzeg przez te platformy i już - stwierdził Krzysiek.

Kajakarze popatrzyli na siebie przeciągle.
- Nooo, ludzie, szacun... - podsumował Paweł.
Widząc reakcję doświadczonych wodniaków, Krzyśka i Ewę nagle poraziła świadomość, że to, co zrobili, nie było chyba najrozsądniejsze i zarazem ogromna ulga, że wyszli z tego cało... Czekając na ojca Krzyśka, oboje siedzieli obok siebie na złożonym pontonie, wyduszając z niego powietrze. I naraz zapadła taka niezręczna cisza, jakby to powiedział Osioł ze "Shreka", ale taka inna. Co przesądziło? Noc, księżyc, radosne śmiechy załóg pływadeł i kajaków szykujących się do noclegu nad brzegami Odry, świadomość, że zrobili razem coś wyjątkowego? Nagle Krzysiek wziął Ewę za rękę i zapytał: - Czy chciałabyś... czy chciałabyś ze mną... - i tu się zaciął. Ewa, śmiejąc się oczami i całą sobą wybawiła go z kłopotu. - Tak. Jeśli masz na myśli, czy chcę z Tobą być, to tak. Teraz może być już tylko łatwiej. A tego jajka i tak Ci nie zapomnę - zażartowała i pokazała mu język. A potem się pocałowali i całowali się długo, z tą przyjemną świadomością, że wreszcie odnaleźli coś, czego szukali bardzo długo. Przed nimi były nie tylko dwa kolejne dni pływadeł, ale być może i całe życie. Obok pod mostem Zamkowym szumiała Odra, po rondzie jeździły samochody, a Matka Polka zezowała na młodych przez ramię z nieukrywaną sympatią.

Uzasadnienie jury

Miłość odnaleziona pod mostem
Akcja tego przygodowego opowiadania toczy się podczas „Pływadła” i jest relacją z dramatycznego, trwającego czternaście godzin spływu z Ostrawy do Raciborza. Opowieść cechuje się dużą dramaturgią i dynamizmem.